

Ewa Zdunek

♥ Z pamiętnika
samotnej
Wróżki ♥

Ewa Zdunek

Z PAMIĘTNIKA SAMOTNEJ WRÓŻKI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-15-7

Copyright © Ewa Zdunek

Projekt okładki: Olga Bołdok

Wydanie II zmienione

4 października, wtorek

Moja sąsiadka Roksana zaproponowała, abyśmy razem wybrały się na wycieczkę do ciepłych krajów. Jej zdaniem, podczas takiego urlopu można poznać bardzo ciekawych ludzi. Poza tym odpoczniemy, opalimy się. Może to nie jest głupi pomysł? Ojciec zniechęcał mnie do prawie każdej destynacji. Do Hiszpanii nie, bo Hiszpanie są agresywni, do Grecji nie, bo Grecy są leniwi, do Włoch nie, bo Włosi pluą do talerzy, do Francji nie, bo Francuzi wszystkich nienawidzą, do Turcji nie, bo mnie oszukają. Postanowiłyśmy więc pojechać do Maroka. O Maroku nie wspominał. Roksana znalazła fajną wycieczkę last minute, wyjazd już za tydzień.

Poszłam dziś zarezerwować miejsce. W biurze zatrudnili, zdaje się, nową sekretarkę. Paniusia ubrała się na białe i przez to przez cały czas trzymała się od wszystkiego z daleka. Od biurka też. Absolutnie idealna bezradność i bezmyślność, które malowały się w jej oczach, przesądziły zapewne o przyjęciu jej do pracy. Wyjaśniłam, kim jestem i w jakim celu się zjawiam. Paniusia wysłuchała i nawet nie drgnęła. Powtórzyłam więc, tylko wolniej, mocniej akcentując na końcu, że oczekuję działania z jej strony. Na przykład w postaci zawiadomienia kogoś w drugim pokoju, że przyszedłam. Paniusia uśmiechnęła się głupkowato, wstała i teraz patrzyłyśmy na siebie w takiej pozycji.

No cóż, lata pracy z ludźmi nauczyły mnie, że w takiej sytuacji nie należy się niczemu dziwić, a tym bardziej denerwować. Komunikat przyjęty w pozycji siedzącej jest inaczej przyswajany, niż ten przyjęty w pozycji stojącej. W istocie rzeczy są to dwa różne komunikaty. Powtórzyłam więc wszystko po raz trzeci. Załapało. Paniusia zniknęła w drzwiach prowadzących do pokoju, w którym niewątpliwie ktoś był. Po chwili wróciła, uśmiechnęła się do mnie i usiadła. Cierpliwość to także cecha, którą odkryłam w sobie już w dzieciństwie, gdy mój gderliwy ojciec co chwilę zmieniał zdanie.

Po około dziesięciu minutach zapytałam, czy mam długo jeszcze czekać.

– A na co? – zapytała życzliwie sekretarka. Takie chwile podczas rozmów z klientami też się zdarzają. Wtedy przypominam sobie, ile klienci płacą mi za spotkanie. Tu nie płacił mi nikt.

– Czekam na rozmowę z kimś, kto mógłby zarezerwować dwa miejsca na wycieczkę do Maroka. Zawiadomiła pani kogoś, że jestem?

Paniusia spłoszyła się lekko. Dwie osierocone komórki, błakające się w jej głowie, najprawdopodobniej zetknęły się i powstał impuls, ponieważ sekretarka poderwała się na równe nogi i krzyknęła:

– Faks! Matko kochana, faks miałam wysłać!

Nie odzywałam się, żeby nie wywołać zwarcia w głowie tej pani, obserwowałam, co się wydarzy. Paniusia wydostała ze stosu papierów jeden i przez chwilę mu się przyglądała. Potem spojrzała na aparat telefoniczny. Był to tzw. kombajn, czyli urządzenie złożone z kilku. Faks, telefon, kopiarka, skaner i ekspres do kawy w jednym. Ale był obarczony wadą, pomimo swojej ogromnej funkcjonalności. Nie posiadał słuchawki telefonicznej. Względnie może posiadał, ale nie w tej chwili. Obok znajdował się tradycyjny aparat, wraz ze słuchawką. Paniusia wsunęła cenne piśmko do środka i wystukała numer. Po chwili usłyszała sygnał łączenia i bezosobowy głos, który powiedział: „Słucham? Kto mówi? Niech ktoś się odezwie!”. Czegóż ta kobieta nie wyczyniała, żeby zadośćuczynić żądaniu. Obeszła kombajnisko dookoła, obejrzała je, obmacała, obwąchała, mogłaby jeszcze polizać. Wreszcie powiedziała gdzieś w przestrzeń i bez przekonania: „Halo”...

Głos w słuchawce uparcie domagał się kontaktu, a sekretarka ze łzami w oczach miauczała to swoje „halo” to z jednej, to z drugiej strony aparatu. W końcu głos się zniechęcił i rozłączył. Faks nie poszedł. Paniusia zagryzła wargi i ponownie wystukała numer. Za ledwie po jednym sygnale odezwało się to samo „halo”, tylko trochę bardziej zniecierpliwione.

– Ja nie mam słuchawki! – krzyknęła paniusia do kombajnu. W końcu to jego wina, że jest niekompletny. Kombajn był tępy i nie przekazał informacji dalej. Osoba po drugiej stronie łączy lekko się już zniecierpliwiła, ale wciąż halowała.

Gdy sytuacja z rozłączaniem się, ponownym wybieraniem numeru, halowaniem – teraz już okraszonym sporadycznymi przekleństwami – powtórzyła się, nie wytrzymałam. Zasugerowałam sekretarce, aby połączyła się z drugiego aparatu, tego ze słuchawką, i wyjaśniła tej osobie, w czym rzecz, a następnie poprosiła o rozłączenie się i gdy ponownie telefon zadzwoni, o włączenie sygnału faksu bez rozpoczynania rozmowy. Sekretarka żywo rzuciła się do telefonu. Gdy ktoś się odezwał, przemówiła:

– Halo, bo to ja dzwonię, tylko że ja nie mam słuchawki i nie mogę rozmawiać. Tak. I dlatego musi się pani rozłączyć i gdy zadzwoni u pani telefon, pod żadnym pozorem proszę go nie odbierać, ani nic nie mówić, bo ja wysyłam faks!

Odjęło mi mowę. Tej pani w słuchawce chyba też. Sekretarka uznała to za dobry znak, znaczy się, wszystko jest jasne, można działać. Wystukała numer na kombajnie i czekała w napięciu. Po jednym sygnale rozległo się „Halo?!”.
– Tam pracuje jakaś skończona idiotka! – orzekła sekretarka i opadła na krzesło.

Z natury jestem litościwa, więc tak mi się wymknęło.

– Chyba szybciej byłoby, gdyby osobiście dostarczyła pani ten faks...

Paniusia zerwała się z krzesła, złapała kurtkę, pisemko i już jej nie było. Gdy po kilku minutach w drzwiach pojawił się sam pan prezes i zapytał zdziwiony, gdzie podziała się jego sekretarka, uszczęśliwiłam go informacją, że pobiegła dostarczyć faks. Osobiście.

– Do Tokio?!

Najważniejsze, że sfinalizowałam transakcję i już za tydzień powitamy z Roksaną magiczne Maroko. Uszczęśliwiona weszłam go sklepu, żeby kupić coś do jedzenia i wtedy ON zaczął mnie, kiedy kupowałam bułki. Uwielbiam bagietki, ale zawsze wypadają mi z torby, nie umiem ich z gracją zapakować. Powiedział, że widuje moją papugę w oknie, zwłaszcza gdy Bolek puka w szybę i zaczyna ludzi w ten sposób. Zapytał, czy napiję się z nim kawy. Nie cierpię kawy, ale zgodziłam się. Chłopak ma na imię Darek i pracuje jako informatyk w sądzie. Chwilę pogadaliśmy i umówiliśmy się na jutro. Wprowadzie wtedy dyżuruję w pralni, ale wymknę się na chwilę. Poproszę Roksanę, żeby mnie zastąpiła. To bardzo wesoły człowiek, ten Darek, sypie dowcipami jak z rękawa. Zaproponował spotkanie w parku, spacer, obiad i może basen? Chyba chce mnie dokładniej obejrzeć. Nie mam kompleksów, niech ogląda. Ojcu oczywiście nie podobało się, że pozwalam się zaczepiać obcym w sklepie. Traktuje mnie, jakbym miała piętnaście lat!

6 października, czwartek

Darek obejrzał mnie sobie dokładnie, ze wszystkich stron. Wybraliśmy się na ten basen. Usiłował nawet bardziej namacalnie sprawdzić, jak wyglądam. Dziwnie się czułam, z jednej strony – podobała mi się taka adrenalina, a z drugiej – byłam dość spięta. Nie umiem zdecydować, czy ten mężczyzna mnie pociąga, czy tylko fascynuje. Wszystko dzieje się trochę za szybko, ale na co mam czekać. Niedługo skończę trzydzieści lat, dla niektórych jestem już staruszką stojącą nad grobem. Dotychczas jakoś nikt specjalnie się mną nie zainteresował, ale wciąż powtarzałam sobie, że nie szkodzi, mam czas. Czyżbym urodziła się wybrakowana, jako kobieta i tę skazę mężczyźni wyczuwają na odległość, co uzasadnia fakt, że wciąż jestem sama. Rokšana, moja zwariowana sąsiadka wciąż umawia się z kimś na randkę. Pozostała singielką z wyboru, ponieważ bawi ją nieustanne flirtowanie z różnymi partnerami. Ja nie mogłabym tak skakać z kwiatka na kwiatek, wołałabym osiąść w jednej, bezpiecznej przystani, wygląda jednak na to, że dla mnie wszystkie porty są zamknięte. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego. Może powinnam zmienić fryzurę?

7 października, piątek

Kupiłam sobie taką jedną książkę. Zostanę współczesną gejszą, działającą w kulturze europejskiej. Nauczę się spoglądać spod rzęs, prowadzić intrygujące konwersacje, gorzej ze strojem, ale dostosuję się do europejskich standardów i kwiaty z kimona przeniosę na sukienki.

Zastanawiam się, jakie znaczenie ma dla mnie znajomość z Darkiem. On od razu chciałby konsumować relację, właściwie nie rozmawiamy o niczym innym, choć znamy się tak krótko. Fantazje erotyczne są bardzo ciekawe i działają na mnie pobudzająco, ale czy naprawdę chciałabym wprowadzać je wszystkie w czyn? Może z czasem, teraz niekoniecznie. Nudzi mnie już ta monotonia w naszych rozmowach... Może jednak to ze mną jest coś nie tak?... Całe szczęście, że w środę lecimy do Marakeszu, bo liczę na to, że Darek o mnie zapomni. Nie znajduję dobrze tej znajomości.

Tymczasem niesamowita Roksana wynalazła w internecie KURS WRÓŻENIA I FILOZOFII KART TAROTA. Oświadczyła, że skoro zawitamy do tak magicznych miejsc, warto zdobyć dodatkowe kwalifikacje. Aż klasnęłam w dłonie, bo to jest to, czego było mi trzeba. Od kilku tygodni jestem taką sobie wróżką, rozkładałam karty klasyczne sąsiadkom i ich znajomym. Nie przypuszczałam nawet, że można na tym zarobić. Czasem uzyskuję w ciągu dnia większe wpływy niż przez miesiąc z tej całej pralni, w której ugrzęzłam pół roku temu, kiedy ojciec zachorował. Karty zaczęłam zabierać do pracy z nudów, bo zawsze znalazł się ktoś, kto chętnie rozegrał ze mną partyjkę makao, aż tu pewnego dnia jedna z klientek zapytała, czy umiem wróżyć. Oczywiście, że umiem. Moja babcia uwielbiała karty, a ja uwielbiałam babcię. Wiele razy opowiadała mi różne, mniej lub bardziej zmyślane historie o Cygankach, które stawiały karty, wróżyły z dłoni albo z oczu. Czytać z kart nauczyłam się wcześniej, niż czytać z książek. Babcia traktowała to jak rozrywkę, gdy przychodziły jej znajome, zamykały się w małym saloniku, babcia rozkładała karty każdej z osobna, odprawiały jakieś rytuały. Dziadek zawsze się potem wściekał, że śmierdzi palonym zielskiem, ale dla mnie to był cudowny świat pachnącej magii, z babcią o czarnych oczach w roli czarownicy. Babcia nigdy nie pogodziła się z myślą, że musiała wyjść za mąż za właściciela dobrze prosperującej pralni, a nie za – na przykład – artystę malarza albo rzeźbiarza. Jej zdaniem, tylko artyści doświadczają tego łagodnego przejścia między dwoma światami, rzeczywistym i duchowym, równocześnie. Jednak dziadek szydził, że z pędzla chleba nie będzie, a z pracy własnych rąk – zawsze. No cóż, mój ojciec przejął pralnię po swoim ojcu, a teraz ja powinnam zająć jego miejsce. Oglądać codziennie brudne gacie, pochylać się nad plamami z barszczu i z uśmiechem na ustach wydawać kwitek, do którego od stu lat dołączamy ten sam komunikat: BĘDZIE GOTOWE ZA DWA DNI, ZAPRASZAMY PONOWNIE! Pójdę na ten kurs. To tylko dwa dni, przez weekend. Przestanę być wróżką mimo woli, a stanę się wróżką z certyfikatem!

Ojciec uważa, że to jakiś stek bzdur. Powiedział, że nie będzie wyrzucał pieniędzy. Bardzo dobrze, wyrzucę własne, zarobione właśnie na wróżeniu. On nie wie, że te tłumy bab, które codziennie przychodzą do pralni, tak naprawdę znikają ze mną na zapleczu i w nosie mają wysokie standardy prania prześcieradeł. Czasem, gdyby nie pomoc Roksany, mojej bezrobotnej sąsiadki, musiałabym czasowo zamykać zakład. Ojciec w ogóle jest zdania, że wszystko, co robię, jest bez sensu. Studia na wydziale filozofii – bez sensu, wcześniej ogólniak – bez sensu, czytanie książek – bez sensu, chyba że dotyczą usuwania plam z jedwabiu. A gdy stanowczo odmówiłam wejścia w związek małżeński z jednym z naszych klientów, synem właściciela pobliskiego domu pogrzebowego – było to najbardziej bez sensu ze wszystkiego. „Grabarzom nigdy roboty nie zabraknie! – krzyczał ojciec. – Tak jak księżom. To bardzo przyzwoita rodzina, swój interes prowadzą prawie tak długo jak my!”.

No pewnie. Wyznacznik wartości kandydata – jak długo jego rodzina prowadzi własny biznes. Może nasi rodzice zaczęliby wówczas myśleć o połączeniu firm, ich potencjalni przyszli klienci mogliby się przecież rekrutować z grona naszych klientów, a potem my

pralibyśmy ich całuny pogrzebowe. Taki związek z firmą na całe życie. Tylko że myśl o dzieleniu łóżka z facetem, który godzinę wcześniej macał nieboszczyków, jakoś nie wydawała mi się romantyczna. Ale ojciec się zdenerwował.

Już wysłałam zgłoszenie, zapłacę i pójdę tam. Zobaczę.

8 października, sobota

Poszliśmy. Kurs odbywa się w wynajętej sali w jednym z podrzędnych hoteli. Straszna duchota, bo sala bez okien. Zgromadziło się prawie dwadzieścia osób, większość z nich to kobiety, niektóre głośno dyskutowały nad określonymi rozkładami kart tarota i sprzeczały się co do interpretacji. Po co one tu przyszły? Zagadnęłam Roksanę, czy dobrze doczytała, bo może to jest kurs dla zaawansowanych? Sąsiadka tylko wzruszyła ramionami. Od początku kursu zerka zalotnie na jednego faceta, nawet sympatycznie wygląda. Trochę się niepokoję, nie miałam do tej pory tarota w ręku. Na razie koniec z pisanie, bo wchodzi prowadząca i prosi o ciszę. Włosy jej sterczą, jakby przed chwilą wyjęła palce z kontaktu. Już wiem, że jej nie polubię. Wśród kursantów jest tylko dwóch mężczyzn. Jeden, około sześćdziesiątki, trzyma się mocno wymalowanej, tlenionej blondyny uczesanej w kok, drugi, dość przystojny, jest sam. Trochę dziwny, bo wszyscy mają karty, mądrzą się na temat wróżenia, a on tylko siedzi i słucha, czasem coś zanotuje. Zaintrygował Roksanę. Ma na imię Jacek. Ja raczej trzymam się na uboczu, onieśmiałają mnie mężczyźni, których nie można rozgryźć tak od razu.

Wieczorem

Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Chyba się jednak wygłupiłam. Strzyga w roli prowadzącej, same profesjonalne wróżki dookoła, nie miałam pojęcia, o czym oni mówili. Zdaje się, że przed przystąpieniem do kursu powinnam była kupić sobie karty, nauczyć się ich znaczenia i dopiero przyjść. Siedziałam jak na tureckim kazaniu. Czarownica strasznie cicho bełkotała, więc przez pierwsze dwie godziny w ogóle nie wiedziałam, o co chodzi. Potem przyczepili jej maleńki mikrofonik do żakietu, który ta szeptucha zdjęła i zaczęła mówić wprost do niego. Jedyne, co wówczas słyszałam, to przeciągły pisk. Coś rysowała na tablicy, ale podpisy były, zdaje się, w języku wiedźm i wilkołaków, bo też nic nie odczytałam. Nie mam ochoty iść tam znowu jutro, ale nie mogę przecież powiedzieć ojcu, że to porażka. Triumfowałby przez rok, potem na miesiąc by odpuścił i znów by mi zaczął wypominać, że miał rację, że to bzdura i wyciąganie pieniędzy. Może po drodze na kurs wstąpię do jakiegoś sklepu i kupię talię kart tarota. Przynajmniej pooglądam sobie obrazki. Jacek nie zwraca na mnie uwagi. Jestem tylko jedną z wielu wrózek, które przyszły na kurs wróżenia. Ale mnie ciekawi, po co on przyszedł. Nie wygląda mi na wróżbitę. Rokšana w ogóle nie jest zainteresowana kursem, tylko zerka na tego Jacka. Zobaczymy, co będzie jutro.

9 października, niedziela

Wiedźma chyba za szybko leciała na miotle, bo całe ubranie miała jakoś tak dziwnie przekręcone na bok. Nawet twarz jakby jej trochę zniekształciło. Ciekawe, jak podróżują strzygi? Mają bilet miesięczny Warszawa – Łysa Góra – Warszawa? Dziś od samego początku zaczęła wymachiwać kartami trzymanymi w dłoni i coś skrzeczeć. Znów nic nie zrozumiałam. Nawet nie ma się kogo zapytać, bo wszyscy są przecież doskonale zorientowani. Rokšana zajęła miejsce obok tajemniczego mężczyzny. Wyraźnie mu nadskakuje. Obok mnie usiadło małżeństwo wróżów. Chyba tak ich należy nazywać? Ona wróży i on też. Skupieni, jak na maturze. Pani prowadząca zadała nam chyba jakąś pracę samodzielną z kartami, bo wszyscy pochylili się nad swoimi taliami. Dobrze, że kupiłam te karty. Co ona tam mruczy? Aha, trzeba rozłożyć siedem kart i trzy poniżej. Dobrze. Mam. Te denary to chyba pieniądze?... Co ma z tego wynikać? Za głupia na to jestem, wciąż nic nie

rozumiem. Roksana podeszła do mnie na przerwie. Z miejsca oznajmiła, że ona i ten gość, któremu tak nadskakuje oraz ja i para grafologów możemy usiąść razem podczas ćwiczeń, bo większość kursantów już się dogadała. Okazało się, że ten cały Jacek to lekarz psychiatra. Pojawił się tu, bo bada zjawisko uzależnień i manipulacji. No nieźle. Ale fajnie nam się ze sobą szeptało, o co trochę była zazdrosna Roksana. Jacek ma ogromne poczucie humoru. Pokazał mi jedną panią, siedzi ze dwa metry przed nami. Ona przez większość czasu zwija i rozwija papierek. Zdaniem Jacka, to świadczy o nerwicy. Wskazał mi jeszcze kilka innych osób, między innymi korpulentną kobietę o czarnych włosach, która co chwilę wycierała nos. „Jest zdenerwowana albo niepokojna – ocenił Jacek. – Coś lub ktoś stale wzbudza w niej niepokój”. Nie miałam odwagi zapytać, co zaobserwował, patrząc na mnie. Moja sąsiadka zaproponowała mi dołączenie do nas podczas podróży do Maroka, ale wymówił się krótkim terminem. No cóż, czas pokaże, co z tego wszystkiego wyniknie.

Później

Pan wróż jest z wykształcenia grafologiem i różdżkarzem. Jak nie ma pracy w jednym zawodzie, zwraca się do drugiej profesji. Opowiedział mi, że kiedyś został poproszony o zbadanie, czy na działce pod domem biegną żyły wodne. Pomylił weekendy i zastał domek zamknięty. W drzwiach tkwiła karteczka. Pomyślał, że to do niego, więc przeczytał. A tam stało: „Za godzinę, Kotku”. Nie umiał rozstrzygnąć, jak odnieść się do komunikatu, ale odczekał godzinę. Gdy już miał odjechać, pojawili się właściciele, żona i mąż. Żadne nie chciało się przyznać do napisania karteczki, uznano sprawę za głupi żart. Kilka dni później pani zgłosiła się do niego z prośbą o postawienie kart na okoliczność tego zdarzenia, a pan, niezależnie, poprosił o analizę grafologiczną pisma. „Zarobiłem trzy razy!” – pochwalił się pan wróż. A później okazało się, że to sąsiad pomylił domki.

Jego żona, znaczy tego grafologa, ma z kolei widzenia, nie mylić z przewidzeniami. Ciągłe coś widzi. Kilka dni temu widziała, jak tramwaj przejeżdża młodą dziewczynę na pasach, i następnego dnia podali, że w Zamościu zdarzył się taki wypadek. „Gdybym wiedziała, gdzie i kiedy, mogłabym ostrzegać ludzi – wyjaśniła mi pani wróżka. – To moja misja otrzymana od Boga. Tylko narzędzi mi nie dał – uśmiechnęła się szeroko. – Tarot będzie moim pomocnikiem”. Dziwni, ale mili. Poczułam do nich sympatię, nawet nie zapytałam Jacka, co sądzi o tej parze, bo chciałabym utrzymać z nimi kontakt. Dalej nie wiem, co z tymi denarami. I co ma do tego żywioł powietrza? Może na studia powinnam pójść? Takie z wróżenia, bo po tym kursie będę chyba tak samo mądra jak przed. Jacek pocieszył mnie, że jest to rodzaj wiedzy którego nie da się przekazać jak w szkole. „Można nauczyć się symboliki kart, ale i tak bardziej chodzi o pewien rodzaj interakcji między wróżącym i klientem – tłumaczył mi. – To jest rodzaj emocjonalnego zaangażowania się, jak w miłości”. No cóż, on chyba wie, co mówi...

Dziś są także wykłady z bogatej oferty firmy, która zorganizowała ten kurs. Cały kram wystawili, książki, karty, wahadełka, amulety, kamienie, kadzidełka, akcesoria i uzdrawiające specyfiki. Brakuje szklanych kul. I czarnych kotów, do kompletu. Zwariowałam, po co ja tu przyszłam? Za grosz nie ma w tym sensu. Od pomachania zajęczą łapką nie znikną komuś kurczaki! Kupiłam sobie kilka książek, z czystej ciekawości je przeczytałam, w tym opis kart tarota. Może sama się nauczę, w końcu już zainwestowałam w talię. Na koniec zajęć para ochotników poddawała się praktykom wróżbiarskim kursantów. Na karteczce pisali odpowiedź na zadane pytanie, wkładali do koperty, potem wróżący rozkładał karty i je interpretował. Nic się nie zgadzało. Ale wszyscy udawali, że tak miało być. Wszystko jest okej. Pytanie nieprecyzyjnie zadane, odpowiedź nieczytelna, karty zmęczone. O rany, co ja tu robię?! Pan wróż-grafolog popisał się wiedzą, ale nie z dziedziny ezoteryki. Bardzo trafnie scharakteryzował osobę, której wróżył, ale na podstawie napisanej przez tę osobę daty urodzenia oraz jej imienia. Przyznał mi się do tego w przerwie. Powiedział, że ta wiedza

bardzo mu się przydaje i często z niej korzysta. To mnie zastanowiło. Skończyłam przecież filozofię, czy w jakiś sposób mogę to wykorzystać?

10 października, poniedziałek

Nudno, bo baby na wróżenie przyjdą po odpracowaniu kolejkowych pogaduszek. Czytam sobie książki, które kupiłam na kursie. W tajemnicy przed ojcem, bo przecież by mnie zabił! W jednej z nich jest napisane, że można wróżyć, obserwując ptaki. Gdy na linii wysokiego napięcia usiądzie ich parzysta liczba, to wróżba jest korzystna, jeśli nieparzysta, to niekorzystna. I tak: dwa kosy siedzące obok siebie to dobry znak, jedna sroka to zapowiedź nieszczęścia, wrona, która zakracze dwa razy, zwiastuje przykre wiadomości, a czapla rozpad związku. Gołębie w każdej ilości przynoszą szczęście, podobnie wilgi, mewy i kaczki. Jaskółki, wróble i bociany też lubimy, ale trzy osobniki jakiegokolwiek gatunku przemieszczające się w lewą stronę – to ostrzeżenie przed chorobą lub śmiercią. Dowiedziałam się, również, że można zwrócić się z pytaniem do wiatru. Należy zrobić to o wschodzie słońca. Gdy wiatr zawieje w kierunku północnym lub zachodnim, odpowiedź brzmi: tak, gdy wschodnim lub południowym: nie. To jest naprawdę fascynujące, można wróżyć z ognia, z rozsypanej słomy, z pary wodnej i płomienia świecy. Czytam to z ogromnym zainteresowaniem. Tarot na razie leży i czeka.

Oczekiwanie na to, co los przyniesie, to jedno z najbardziej uciążliwych wyzwań, jakie stają przed człowiekiem. Przeżywam rozterki, czy to uczciwie umawiać się z kimś, kogo z założenia nie traktuję jako kogoś ważnego w moim życiu. Takie spotkanie się bez wizji. Nawet jeśli od razu powiem, że nie widzę przyszłości dla takiej relacji, to ten mężczyzna wzbudza w sobie nadzieję i to mi przeszkadza. Z drugiej strony, nie chcę czekać w samotności. Czy to jest egoizm z mojej strony?

Urlop za pasem. Już za tydzień wyjeżdżamy. Tymczasem Roksana zajęta już nowym znajomkiem. Psychiatra poszedł w odstawkę. Tym razem to jakiś agent służb specjalnych. Bardzo tajemniczy gość. Nic o sobie nie mówi, nic swojego nie przynosi. Być może boi się, że pozostawi odciski palców na obierkach od jabłka i w ten sposób będzie go można zdemaskować. Pomieszkuje u Roksany, czasem dłużej, czasem krócej, ona sama nigdy nie wie, kiedy gość przyjdzie i kiedy wyjdzie. Czasem mam wrażenie, że ona specjalnie wyszukuje sobie takich typów. Ciekawe, co ją w nim tak pociąga?

Wspólne mieszkanie z ojcem staje się nie do zniesienia. Nawet Bolek zaczął mu przeszkadzać. Mały, grzeczny ptaszek, którego przysparzałam dwa miesiące temu, gdy ktoś wyrzucił go do śmietnika w pudełku po butach. Biedna ptaszyna zginęłaby marnie z głodu, przerażenia lub w drapieżnych pyskach dzikich kotów, gdybym nie usłyszała dziwnego popiskiwania. Nie mogę pogodzić się z tym, że ludzie potrafią być tak okrutni. Bolek z miejsca zadomowił się na jednym z parapetów, gdzie kilka dni później umieściłam jego klatkę. Lecz nie trzymam go w zamknięciu. Papużka fruwa sobie swobodnie po mieszkaniu, co drażni ojca, który twierdzi, że ptaszek kiedyś narobi mu do talerza. Też coś! Bolek to bardzo dobrze ułożony osobnik. Uwielbia przyglądać się wszystkiemu, co przesuwają się za oknem, zaczął nawet mówić, choć asortyment jego słów jest dość ubogi. Roksana wspomniała, że mieszkanie na poddaszu jest od dawna wolne. Poprzedni właściciel, jakiś artysta plastyk zapił się w nim na śmierć i od tamtej pory lokal stoi pusty. A gdybym zaadoptowała go dla siebie? Mieszkanko na poddaszu – to brzmi cudownie! Roksana nawiązała wprowadzić do wolnego mieszkania ze względu na tajemniczego agenta, który pragnąłby urządzić tam sobie tajną kryjówkę, ale mnie on nie obchodzi. Zaraz po powrocie z Maroka zainteresuję się tematem i podejmę stosowne kroki. Tak, mieszkanie na poddaszu, z Bolkim a nie z gderliwym ojcem, to jest to!

11 października, wtorek

A więc, jedziemy! Kierunek: Marakesz. Nie powinno być problemu w pracy, choć ojciec już przewiduje bankructwo z tego powodu, że sam będzie musiał segregować pranie. Jedziemy jutro, jestem mocno podekscytowana. Boże kochany, czuję się jak korek wypuszczony z butelki od szampana. Marakesz!!

12 października, środa

Marakesz. Maroko. Już te dwa słowa wystarczą, żeby zrobiło się gorąco. Słońce i uśmiechnięty rezydent przywitali nas na lotnisku. Roksana nie mogła oderwać od niego oczu. Pan Tomasz, sto osiemdziesiąt parę centymetrów stuprocentowego mężczyzny w okularach. Ja nie przepadam za takim typem „wiecznego chłopca”. Od razu nas zapamiętał, nie dlatego, że takie jesteśmy urodziwe i zjawiskowe, tylko ponieważ wyszliśmy z tego lotniska jako ostatnie. Torba Roksany zaklinowała się na taśmie bagażowej i musieli wyzwać techników, żeby ponownie uruchomić mechanizm. Zniecierpliwiona sąsiadka wgramoliła się na pas transmisyjny i w tej samej chwili, gdy szarpała się z walizą, ten pas ruszył. Ku uciesze tubylczej obsługi, Roksana, osadzona na walizce jak na byku, przejechała prawie całą trasę, zanim znów zatrzymano mechanizm. Oczywiście zleciała się cała ochrona lotniska i dawaj wypytywać ją po arabsku. Roksana posługiwała się językiem ojczystym i tak sobie gadali, oni po swojemu, ona po swojemu, po godzinie im się znudziło i pozwolili nam odejść. Mam wrażenie, że Roksana coś obiecała, ale nie mam pojęcia co. Po prostu kiwnęła głową na zgodę i tyle.

Na nasz widok pozostali urlopowicze odetchnęli z ulgą. Siedzieli stłoczeni w autokarze i pocili się na potęgę, bo kierowca odmówił uruchomienia silnika, a tym samym klimatyzacji. Usiadliśmy, każda gdzie indziej. Pan Tomaszek rozpoczął swoje przemówienie powitalne, kierowca ruszył, na samym zakręcie Roksana podniosła się, żeby umieścić torbę na półce nad głową. Minutę później siedziała na kolanach pana ubranego w koszulę w kwiatki. Jemu nawet się to spodobało, jego żonie siedzącej obok zupełnie nie. Cała trójka skutecznie zagłuszyła Tomaszka. Potem okazało się, że ani Roksana, ani ja nie pamiętamy nazwy naszego hotelu. Odprowadziliśmy więc wszystkich pozostałych turystów, bo Tomaszek zapomniał wziąć swoją listę i też nie wiedział.

Pod wieczór dotarliśmy na miejsce. Przy recepcji nie było nikogo, żywej duszy. Czekałyśmy i czekały, w końcu porzuciłyśmy walizki na środku hallu i poszłyśmy szukać kogoś z obsługi. Udało się znaleźć i siłą doprowadzić jakiegoś przerażonego chłopaka, który wskazał nam recepcjonistę. Wtedy okazało się, że naszych walizek nie ma. Zniknęły.

– No pięknie! – skrzywiła się Roksana. – Zaraz pierwszego dnia nas okradli!

Na szczęście torebki z dokumentami i pieniędzmi miałyśmy przy sobie. Usłużny chłopak doprowadził nas do pokoju. Zdziwił się trochę, że nie mamy bagażu. Otworzyłyśmy drzwi i weszłyśmy do środka. Ciemno jak w jaskini. Nigdzie żadnych przycisków, wyłączników, kieszonek na kartę, nic – lita ściana. No cóż, jakoś trzeba było sobie radzić. Nasz pokój znajdował się na końcu korytarza i tylko nieliczni goście byli cokolwiek zdziwieni naszą dosłowną otwartością. Drzwi od pokoju pozostawiłyśmy bowiem otwarte na oścież, bo na korytarzu paliło się światło. Co nam mieli ukraść? Nas?

W łazience, luksus, psia krew! Potrzebne kurki i przyciski ukryte w ścianach. Wszystkie obmacałam, zanim popłynęła woda w prysznicu. Żeby użyć spłuczki, musiałam się pomodlić. Poważnie. Pochyliłam głowę i zaobserwowałam, że jeden kafelek z boku jest inny. Naciskam – spłukuje!

Nie wiem, jak my wytrzymamy w tych luksusach cały tydzień. No cóż. Trzeba się jakoś przemęczyć ...

13 października, czwartek

Rano udałyśmy się na śniadanie. Moc owoców, soczystych pomarańczy, daktyli, brzoskwiń, winogron. Moje ulubione naleśniki – byłam w raj. Niestety, raj nie dla mnie. Naleśniki muszą być z czymś: cukrem, serem, miodem, dżemem, czekoladą, szynką, czymkolwiek. Samych nie podają. Zabrałam z patelni gorącego, niedopieczonego naleśnika, zanim kucharz zdążył zareagować. Długo jeszcze wygrażał mi pięścią.

Potem ja wybrałam się na plażę, Roksana nad basen. Widok niekończącego się horyzontu zawsze działa na mnie kojąco. Szum morza, ciepło słońca, piasek między stopami i nikt nie marudzi, człapiąc obok. Przeszłam się spory kawałek, gdy wróciłam, postanowiłam usiąść na chwilę i popatrzeć na morze. Tak zupełnie bezmyślnie. Zapatrzyć się w dal i nic nie myśleć. Przymknęłam oczy, słońce delikatnie muskało mi twarz, czułam, jak się nagrzewam...

Aż nagle zrobiło się zimno. Nie, żeby mróz złapał, ale chłodniej... Otworzyłam oczy. Przede mną stał wieloryb. Opięty w biały kostium kąpielowy, wieloryb na niby-nóżkach. Stał i przyglądał się, zasłaniając mi słońce. Patrzyłam na postać i nie wiedziałam, co robić. Wstać i odejść, przesunąć się, ją przesunąć? Zanim uruchomiłam szare komórki, wieloryb przemówił ludzkim głosem:

– Pan Tomaszek prosi na zebranie. Pani znowu jest spóźniona!

O kurczę! Zebranie rozpoznawcze! Zapomniałam. Byłam aż tak ważna, że ten cały Tomaszek wysłał po mnie zwiadowców? Podreptałam posłusznie za wielorybem. Cała nasza grupa, z Roksana na czele, okupowała leżaki usytuowane przy wyjściu z hotelu na plażę. Usiedliśmy w kółeczku wokół pana Tomasza, skutecznie blokując jedyne przejście. Pan Tomaszek wyrecytował opowieść o cudach Maroka, które powinniśmy zobaczyć, i nie ma się co namyślać, bo to za takie pieniądze, że szkoda gadać. Biuro przecież nic na nas nie zarabia, tylko dokładają. Roksana gotowa była pojechać za nim nawet do piekła. Ja niekoniecznie, tym bardziej, że należało zaopatrzyć się w dodatkową garderobę i kilka świeczek. Zapiisałam się więc na wycieczkę na bazar.

Potem pan Tomaszek oprowadził nas po hotelu. Najbardziej interesująca okazała się kuchnia i brudne łapy kucharza, który najpierw wytarł ręce o fartuch, potem o nos, na koniec pogładził włosy i przystąpił do zagniatania ciasta. Oczywiście poznał mnie i zaczął gulgotać coś po swojemu. Będę przychodzić na posiłki w ciemnych okularach, zasłaniających pół twarzy. Rodzina wielorybów, złożona z taty wieloryba, mamy wieloryba, syna wieloryba i ciotki chudej jak palec, ale z nieodłącznym plecaczkiem, w którym zniknęło wszystko, co znalazło się w pobliżu jej rąk, stale trzymała się blisko nas. Czułam się przytłoczona. Wszystko chcieli o nas wiedzieć i ciągle coś z nami robić. Jedyne, czego nie cierpieli, to ruch, więc zaraz pierwszego dnia zapisałyśmy się z Roksana na wszystkie zajęcia taneczne, sportowe i w ogóle związane z ruchem. Nawet na strzelanie z łuku.

Przy stole, podczas posiłków, czekali, aż my zamówimy coś do picia, bo w razie czego rachunek będzie opiewał na mnie lub na Roksana. Chwalili się swoją przebiegłością i sprytem, ciocia kradła na potęgę, co jej wpadło w ręce, tata zjadał, a potem udawał, że to nie on, synek wskazywał – jakby co – na rodziców, a mamusia wszczyniała awanturę strasznie piskliwym głosem. Działo się. W restauracjach po prostu starano się, aby jak najszybciej wyszli, na bazarach zamykano przed nimi stragany, i w ogóle unikał ich, kto mógł. Każdy, tylko nie my. Gapy skończone. Tomaszek plątał się obok nas nieustannie. Roksana wychwalała jego zaangażowanie pod niebiosa, ja czułam się niezręcznie. Zwłaszcza gdy zadzwonił i zaproponował darmową rundkę po nocnych lokalach z finałem w jego łóżku. Nie należę do światowych dam. Odmówiłam.

14 października, piątek

Wybrałyśmy się na Saharę, zobaczyć, jak wygląda morze piasku, powąchać wielbłąda i przeżyć przygodę życia. Dowieziono nas, czyli całą wycieczkę, na brudnawe klepisko, na

którym leżały wielbłądy, lekceważąco przeżuujące coś w mordach. Poganiacze siedzieli przy nich i – jak Boga kocham – tak samo kręcili swoimi pyskami. Bezzębny, strasznie sepleniący Arab w turbanie wytłumaczył nam, jak się na wielbłąda wsiada. A mianowicie podnosi się jedną nogę do góry, hop i już. Nie sprecyzował którą, i jeden pan usiadł tyłem do przodu, zaskoczony, że wielbłąd zamiast łba ma ogon. Zamach nogą w wykonaniu profesjonalisty był potężny, w związku z czym Roksanie, która chciała to powtórzyć, udało się wielbłąda przeskoczyć. Ja gramoliłam się jak stuletnia staruszka i chyba wszyscy tubylcy mi w tym gramoleniu musieli pomagać. Nigdy w życiu tylu facetów nie wyklepowało mego tyłka. Gdy usadowiłam się już między dwoma garbami, wielbłąd postanowił wstać. Znowu nikt nas nie uprzedził, że u wielbłąda najpierw wstaje zad, więc mój kapelusz wylądował na nosie zwierzaka.

Najzabawniejsza historia spotkała jednak panią wielorybową. Kiedy zbliżyła się do wyznaczonego jej wierzchowca, ten nawet nie drgnął. Spokojnie przeżuwał dalej. Gdy babsko zadarło nogę, by na niego wsiąść, z rozbawieniem w oczach przyglądał się tej scenie i mogłabym przysiąc, że mówił innym wielbłądom: „Popatrzcie tylko, tylko popatrzcie!”. Wszyscy już siedzieli na swoich zwierzętach, nawet małżonek i progenitura wielorybia, a ta nie mogła się wtaszczyć. Wreszcie gigantyczne dupsko osiadło w siodle, a wielbłądowi mało oczy nie wyszły na wierzch. Rozbawienie z nich znikło zupełnie i zamieniło się w niedowierzanie, potem irytację. Wiem już, jak mogły wyglądać oczy Bazyliszka. Właśnie tak, jak tego wielbłąda, gdy poganiacz kazał mu wstać. Zwierzę popatrzyło na niego tak, jakby mówiło: „Ty chyba żartujesz?!” – po czym z głośnym stęknieniem podniosło się na chwiejnych nogach. Prawie zapadał się w piasek z tą babą na grzbiecie. Kolejną chwilę młody chłopak w turbanie namawiał wierzchowca do zrobienia choćby pół kroku. Groził mu, prosił go, przekupywał. Wreszcie zwierzę zmiękł i ruszył. Szedł bardzo wolno, cały czas mamrocząc coś bardzo niepochlebnego o swojej niewdzięcznej pracy, tłustej pasażerke i zapewne o ludziach w ogóle. Babę to w końcu znarowiło.

– A zamkniesz ty tego ryja wreszcie?! – rzuciła ostro.

Wielbłąd stanął jak wryty. Słów zapewne nie rozumiał, choć wszyscy Marokańczycy prezentowali niezwykle uzdolnienia lingwistyczne, ale chodziło o ton. Zatrzymał się, odwrócił wolno łeb i zmierzył babę wzrokiem. A gdy ta pacnęła go w czoło, wyrzucił z siebie lawinę gulgotów, przeplatanych zieloną śliną, po czym pomknął niczym młode źrebię z zadartym ogonem. Znaleźli ich jakiś czas później. Wielorybnica trzęsła się jak galareta i nie mówiła przez następne dwa dni. Na pustyni nie wydarzyło się poza tym nic nadzwyczajnego. Roksana była mocno rozczarowana, najwidoczniej spodziewała się spotkać przystojnych, brodatych Beduinów, którzy z dzikim błyskiem w oczach będą usiłowali ją porwać. Wszyscy jednocześnie. Niestety, czas romansów rodem z Tysiąca i Jednej Nocy skończył się wraz z odejściem ostatniego Sindbada Żeglarza, a turystyczne atrakcje, szyte na miarę klientów nie przystają nawet do najbardziej siermiężnych wyobrażeń. Tylko słońce nie zawiodło.

15 października, sobota

Najbardziej niespodziewany zakup – nabycie kart na targu w Casablance. Kart klasycznych i tarota. Nie umiem tego wyjaśnić, ale lubię je mieć blisko siebie. Mają tajemniczy zapach, są piękne, wciąż mogłabym je oglądać. Leżały na stoliku do szachów. Nic więcej nie przykuło mojej uwagi. Chciałam tylko karty. Mężczyzna, który sprzedawał, skrzywił się, gdy od razu wyjęłam pieniądze. Nie targowałam się. Patrzył na mnie z niechęcią, ale wówczas z wnętrza sklepu wyłoniła się kobieta, niemłoda, która popatrzyła na mnie, powiedziała coś po arabsku i po prostu wręczyła mi te karty. Bez zapłaty.

Sprzedawca nabrał jeszcze większego dystansu. Kobieta zaprosiła mnie do środka, podała herbatę. Cały czas przyglądała mi się badawczo, a ja przyciskałam karty do siebie. Gdy nie patrzyła, wahałam je, jak to czasem robię w księgarni z nowo zakupioną książką.

Gdy wypiliśmy herbatę, gospodyni coś do mnie powiedziała, ale nic nie zrozumiałam. Wtedy poszła po owego mężczyznę i on przetłumaczył, że chciałyby, abym jej powróżyła. Pokręciłam głową, że nie, nie umiem, ale ona nalegała. Wtedy spełniłam jej prośbę. Rozłożyłam karty i wszystko stało się jasne. Wiedza spłynęła na mnie jak ciepło, jak światło. Mówiłam, mężczyzna tłumaczył, a kobiecie wilgotniały oczy. Po chwili ustawiła się już kolejka do wróżenia.

Nie przyjechałam tu przecież, żeby pracować, pomyślałam z rozpaczą. Jednak byłam w tym gronie sama, ludzie tłoczyli się w wejściu, bałam się odmówić. Roksana stanowczo odmówiła towarzyszenia mi w tej sentymentalnej podróży, twierdząc, że Maroko nie zdoła jej już niczym zaskoczyć.

Skończyłam bardzo późnym wieczorem, za to z pokaźną sumą w torebce. Musiałam jakoś wrócić do hotelu. Wszystkie taksówki pozniwały, bo zapadła noc. Przestraszyłam się, jak ja sobie poradzę? Usiadłam na ławeczce i zamyślałam się. Strach błąkać się po nocy samej, chyba przesiedzę tu do rana. Wtedy, nie wiadomo skąd, pojawili się przy mnie marokańscy chuligani. Tak ich przez pomyłkę na początku oceniłam. Banda rozrabiających wyrostków, którzy włóczą się po nocy w poszukiwaniu guza. Nie miałam nawet gdzie się schować. Oby mnie tylko nie zabili, resztę zniosę, pomyślałam w panice i siedziałam dalej.

Towarzystwo mnie dostrzegło, a jakże, i zbliżyło się, pytając o coś, oczywiście w swoim języku. Odpowiedziałam im w swoim. Przez chwilę tak sobie konwersowaliśmy. Moje odpowiedzi, nie wiedzieć czemu, wywoływały u nich salwy śmiechu. W końcu padło pytanie, które zrozumiałam. Wstyd mi, że oni posługują się językiem alternatywnym, dla mnie zrozumiałym, a ja nie. Może skrucha, którą poczułam, była wyczuwalna w głosie, dość, że na pytanie, co tu robię, odpowiedziałam, że czekam na taksówkę, która odwiezie mnie do hotelu. Kolejna salwa śmiechu. No tak, prawie pierwsza w nocy, a ja czekam na taksówkę. Powinnam dodać, że wyszłam wcześniej, aby się nie spóźnić. Gdy tak rechotali, zabrzmiał warkot auta. Spojrzeliśmy, jedzie taksówka! Ale z pasażerem. Młodzieź coś do siebie wykrzyczała, po czym wszyscy wybiegli na ulicę tuż przed maskę samochodu. Kierowca zatrzymał się z piskiem opon. Chłopcy otworzyli drzwi i powiedzieli coś, co mogło oznaczać, że potrzebny jest transport dla mnie. Wtedy siedzący na tylnym siedzeniu pasażer zaczął głośno protestować. Więc go wyciągnęli na chodnik, pozbawili jeszcze portfela, który ktoś wcisnął mi do ręki ze słowami: „To na taksówkę!” – wepchnęli mnie do środka i gestem pokazali kierowcy, że ma jechać. No i pojechałam. Najpierw na posterunek policji, gdzie zaspany policjant nie chciał mi uwierzyć, że to nie ja napadłam na taksówkarza, zabrałam mu portfel i zmusiłam, żeby mnie tu przywiózł, bo w międzyczasie dopadły mnie wyrzuty sumienia.

Rano Tomaszek podszedł do mnie i powiedział z wyrzutem:

– A ze mną to nie chciałaś iść poszaleć!

Roksana wypytywała mnie o nocne życie Maroka, nie chciała uwierzyć, że jedyne, co przeżyłam to spotkanie z radosną młodzieżą.

16 października, niedziela

Naturalna w człowieku potrzeba poznania wszystkiego, z czym ma styczność, sprawia, że pojawiają się pytania najbardziej fundamentalne. Kim jestem? Po co pojawiłam/pojawiłem się na tej ziemi? Czy istniałam/istniałem wcześniej? Czy moja droga życiowa to napisany już scenariusz, który tylko przyjdzie mi odegrać na scenie życia? Czy mam wpływ na własne przeznaczenie? Czy jestem naprawdę wolny/wolna w swoich wyborach? Co mnie spotyka? Czemu to służy? Dlaczego? Zdarzało się, że w jakimś miejscu czułam się, jakbym od lat tam mieszkała, każdy kąt był mi znajomy. Nie zaprzeczam możliwości występowania zjawiska reinkarnacji, co tłumaczyłoby te odczucia, ale we mnie rodziły się zawsze pytania bardziej

ogólne: Kim jestem? Co niosę ze sobą? Po co znów wróciłam na ziemię, jeśli tak się stało? Czego nie zakończyłam wcześniej?

Aby zmierzyć się z pytaniem „kim jestem?” – należy zastanowić się, czy charakterystyka ma odnieść się tylko od aktualnej odsłony, czyli ma stanowić opis osoby, z którą rozmawiam w tym momencie. Na tak zadane pytanie odpowiedź brzmi: jesteś tym, za kogo sam/sama siebie uważasz, poszerzone o sposób postrzegania cię przez innych. Lecz i tak zadane pytanie jest niepełne. Pojawia się bowiem wątpliwość, czy pytamy o to, kim jesteśmy teraz, czy o to, kim byliśmy wcześniej. Przeżyte doświadczenia oraz wiek zmieniają postrzeganie człowieka na wielu płaszczyznach, zatem o który wymiar chodzi?

Wreszcie, jak odpowiedzieć na pytanie „kim jestem?” – jeśli przyjąć, że należy uwzględniać wiedzę o sobie nabytą wcześniej, zatem horyzont przeżytych doświadczeń przesunie się aż do pierwszego z wcieleń. Tak głęboka analiza osobowości zwykle daje odpowiedź na kolejne pytania. Podróż na Wrzecionie Czasu to obserwacja siebie najgłębsza, najczystsza, bo pozbawiona jakichkolwiek schematów. Każde wcielenie „wdrukowuje” własne wzorce, uwarunkowane kulturowo, społecznie, żaden umysł przy swoich ograniczeniach nie jest w stanie zgromadzić i przeanalizować danych tak obszernych. Potrafi to tylko podświadomość, która gromadzi mądrość pozyskaną z doświadczenia i odczuwania. Czy zatem Przeznaczenie ma jeden wymiar, czy kilka? Czy pojawiając się we wcieleniu drzewa, realizuję to samo Przeznaczenie, gdy odradzam się jako wojownik w Sparcie? Czy istnieje kolejność wcieleń, uzasadniona realizowaniem jakiegoś Wyższego Planu? Wydaje się, że tak, można zaobserwować pewną konsekwencję w przeżywanych sytuacjach, które – za sprawą odczucia – uważamy za już przeżyte, znajome. Zarazem pojawia się niewytłumaczalna potrzeba badania tego, co niezbadane w nas, szukania w naszej podświadomości odpowiedzi na pytanie, dlaczego mnie to spotyka? Zatem skoro rodzi się taka potrzeba, musi ona wynikać z wyższej świadomości, niedostępnej umysłowi. Gdyby umysł dyktował nam taką potrzebę, sięganie do przeżyć z poprzednich wcieleń byłoby jednym z przedmiotów szkolnych. Również fakt, że nie wszyscy są gotowi na poznanie siebie z „wcześniej”, dowodzi, iż jesteśmy elementem jakiegoś Wyższego Planu. Wreszcie, czy ten Plan jest przesądzony, niezmienny, a my, niczym aktorzy, winniśmy odegrać tylko swoje role na scenie życia?

Nie. Za taką tezę przemawia oczywisty fakt o istnieniu niezaprzeczalnej wolnej woli człowieka. Jego nadprzyrodzonej godności, która czyni istotę ludzką najdoskonalszym stworzeniem na ziemi. Wolna wola człowieka przesądza o jego przeznaczeniu. Tu każdy z nas jest jak malarz stojący przed niezamalowanym płótnem. Mamy do wykonania zadanie. Sposób jego wykonania oraz decyzja, czy w ogóle je wykonamy, należy do nas. Ja podjęłam decyzję, że podążę ścieżką mojego wewnętrznego poznania, na końcu której znajdę to, czego szukam. Miłość i spełnienie. Wyznaczam sobie cel w postaci niezbaczenia z drogi. Co się na niej pojawi, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Chcę wierzyć, że tylko to, co jest dla mnie dobre, rozwijające, uczące mnie. Nie bez powodu przecież pojawiłam się właśnie w tym miejscu, Casablanka wywołuje we mnie rozmyte wspomnienia, coś, co ucieka, gdy tylko skupiam na tym myśl. Coś się rozpoczęło, wiem to, choć nie umiem tego nawet nazwać. Ale to coś bardzo ważnego. Dla mnie. Obudziłam się z takimi słowami w głowie i nie mogłam pozwolić, by spadły na ziemię. Z pamiętnikarskiego obowiązku notuję, że zaoferowano nam dziś udział w wieczorze folklorystycznym, a wcześniej degustację tradycyjnych marokańskich potraw, połączone z zakupem przetworów po okazjnych cenach. Roksana wpadła w oko jednemu ze sprzedających i wróciła do pokoju hotelowego uginając się pod ciężarem słoiczków z dżemem z opuncji i daktyli. Ja nabyłam ręcznie wyszywaną serwetę na stół oraz pudełeczko na karty, wykonane z drzewa sandałowego. Arabski wzór wyryty na pudełeczku, nadał zawartości dodatkowo magiczną moc. Kiloro turystów z hotelu dowiedziało się skądś, że potrafię przepowiadać przyszłość i szybko wieczór z pokazem w wykonaniu arabskich

tancerek zamieniłam w kącik z wróżbami. Wśród chętnych znalazł się pewien Polak, pan Przemek, okropny malkontent. Co by mu nie powiedzieć, to zaprzeczał, krzywił się, wyrażał dezaprobatę, w ogóle był okropny i męczący. Gdy tylko nadarzyła się okazja, zwinęłam karty do pudełka i schowałam się między ludźmi, a potem czym prędzej pobiegłam go autokaru, który zawiózł nas do hotelu. Jakieś przekleństwo z tymi kartami, jeszcze późnym wieczorem ktoś pukał do drzwi i domagał się postawienia mu kart.

17 października, poniedziałek

Postanowiłam wybrać się samotnie do Rabatu. Bez pana Tomaszka i reszty grupy. Roksana wolała pozostać w hotelu i poświęcić ostatnie chwile przypiekanii się na słońcu. Najgorzej było z Wielorybami, bo pani Wieloryb uparła się, że musi sobie kupić klapki, a w okolicy hotelu nie ma takich, jak ona sobie wymarzyła. Gdy nieopatrznie wygadałam się, że zaraz po śniadaniu jadę do stolicy, Wieloryby przykleiły się do mnie jak plaster. Nie pomogło nawet chowanie się za budką wartownika przed hotelem. Wypatrzyli mnie i nie było wyjścia, pojechaliśmy razem. Już w autobusie Wieloryby urządziły koncert, ponieważ kierowca zażądał od nich podwójnej opłaty. Nie było to nieuczciwe, zajmowali przecież każde po dwa miejsca. W Rabacie pan Wieloryb od razu orzekł, że to wiocha, i nie warto było przyjeżdżać. Pani Wielorybowa zaczęła rozglądać się za jakąś knajpką, bo całe dwie godziny nic nie jadła. Poszliśmy więc w stronę niewielkiej restauracyjki. Liczyłam na to, że ich tam porzucę i ucieknę, pod pozorem skorzystania z toalety. Usiedliśmy przy stoliku. Wieloryby zaczęły czytać menu. Przystudiowali całą treść w skupieniu, po czym zamówili frytki z ketchupem. Udałam się do toalety. Weszłam do niedużego pomieszczenia z oknem. Niewysoko, parter, wyskoczę. W tej chwili ktoś wszedł do środka, a ja w popłochu skryłam się w jednej z kabin. Były trzy. Usiadłam na sedesie i czekam, aż ta osoba zajmie się sobą po sąsiedzku. Nie zasunęłam zasuwki. Nagle drzwi od mojej kabiny otworzyły się i przed oczami stanął mi gigantyczny zad, który opadał wprost na mnie. W kabinie było dość ciasno, więc osoba wślizgała się do środka tyłem. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, pamiętam tylko, że strasznie głośno krzyczałam.

Do hotelu wróciliśmy taksówką. Wieloryby ostentacyjnie trzymały się ode mnie z daleka aż do końca podróży. Może dlatego, że w taksówce śmiałam się histerycznie przez całą drogę. Na miejscu dopadło mnie grono zainteresowanych wróceniem, w tym pan Przemek, któremu uroiły się kolejne pytania. Nie pomogło podwojenie stawki, do wieczora nie wstałam od stolika. Nawet ludzie z obsługi hotelowej wymykali się na chwilę, żeby postawić im karty.

Gdy zwijałam już swój kramik, podszedł do mnie pan Tomaszek i zapytał, czy mogłabym odczytać jego przyszłość: krótko, w dwóch żołnierskich zdaniach. Bez słowa wyjęłam karty, rozłożyłam je przed nim i powiedziałam:

– Na wiosnę nastąpią duże zmiany w pana życiu. Nie będzie pan się martwić ani o pieniądze ani o pracę ani o rodzinę, ale jakiś niedosyt na zawsze pozostanie w pana sercu. Delikatna zadra, która jak zadra w palcu nie zagoi się nigdy. Chyba że zmieni pan coś w swoim życiu. Wyjdzie poza bezpieczny komfort, żeby napisać scenariusz własnego losu od nowa. Wtedy będzie mniej stabilnie, za to ciekawiej i bardziej satysfakcjonująco.

Pan Tomaszek podziękował i odszedł. Dziwnie poczułam się z tą wróżbą, jeszcze dziwniej z tym, że sama odczuwałam dokładnie to samo.

18 października, wtorek

Roksana postawiła sobie za punkt honoru, że przed odjazdem zwróci na siebie uwagę jednego z recepcjonistów. Biegała mu przed oczyma w tę i z powrotem, z dnia na dzień coraz bardziej roznegliżowana. Pan nic, twardo siedział przy kontuarze i udzielał odpowiedzi podchodzącym osobom. Nawet mu mięsień twarzy nie drgnął, gdy Roksana, półnaga,

podeszła i o coś go zagadnęła. Odpowiedział uprzejmie, ale bez afektacji. Rozczarowana oddaliła się. I wtedy do pana recepcjonisty podeszła kobieta, która prowadziła psa przewodnika i podała panu białą laskę.

Dziś ostatni dzień. Spędziłam go w pokoju, aż do czasu wymeldowania się. Dostyc tych atrakcji. Dość kart i dość pana Przemka. Pan Tomaszek jakoś znikł nam z pola widzenia.

Po południu, tajemnica zaginionych bagaży rozwiązała się. Cały tydzień przestały spokojnie w hotelowym schowku. Przekonane, że nas okradli, i zawstydzone, że okradli tylko nas, nie zgłosiłyśmy tego faktu. Obsługa hotelu pomyliła pokoje, a ponieważ goście, którym nasze walizy dostarczono, stanowczo odmówili ich przyjęcia, wylądowały one w komórce i były proponowane jako *souvenir* każdemu wyjeżdżającemu turyście. Dopiero nasze Wieloryby się zachęciły. Przywłaszczyli sobie niechciane walizki, i przy załadunku do autokaru transportującego nas na lotnisko rozpoznałyśmy naszą zgubę. Przy okazji wyjaśniam, że światło w pokoju też było. Oczywiście elegancko zamaskowane w ścianie. Oświecił nas jeden pan, światowiec i obieżyświat. A my głupie, przy tych świeczkach... Pokojówki pewnie długo jeszcze będą opowiadać sobie o nas anegdoty. Tomaszek, który w autokarze nagle się mną mocno zainteresował, towarzyszył mi aż do odprawy paszportowej. Nie asystował tak nikomu innemu. Nie wiedziałam, gdzie oczy podziąć. Uwziął się na mnie, po prostu. Odetchnęłam w samolocie. Wracamy. Czy ja w ogóle odpoczęłam?

20 października, czwartek

Sny to wiadomości przesyłane przez naszą podświadomość. Informacje, ostrzeżenia, czasem wizualizacja marzeń. Lecz co może oznaczać, gdy widzę samą siebie wchodzącą boso po trawiastym zboczach w górę, wokół krajobraz jak z bajki, nad wzgórzem niebo ciemnieje, zbierają się czarne chmury, dziwne, bo otoczone złotą obwódką. Wygląda tak, jakby chmura kryła w sobie całe kłębowisko błyskawic. Piękne i przerażające zarazem. Czuję lęk, ale idę dalej. Mija mnie coraz więcej osób, które pośpiesznie schodzą, a nawet zbiegają w dół. Nie przejmuję się tym. Docieram na sam szczyt, a stamtąd widzę w dole wezbrane sinogranatowe morze, fale tłukące się niespokojnie o brzeg, one także krzyczą, bym stąd uciekała, bo poszewka z błyskawicami zaraz się rozerwie. Podnoszę głowę i patrzę. Biernie czekam na to, co nieuniknione. Nagle chmura rozrywa się na tysiące kawałków, niebo mieni się wszystkimi kolorami tęczy, przecinane co i raz złotą nicią. Widzę gigantyczną kulę, która nie wiadomo skąd się wzięła i spada z ogromną prędkością, wprost na mnie. Nie uciekam, nie staram się ukryć, choć strach wprost mnie paraliżuje. Czekam. Po prostu czekam.

Obudziłam się złana potem. Spienione fale, grzmoty, błyskawice, wzniesienia, to wszystko oznacza niepokój podświadomości. Ale przecież sama dla siebie nie jestem klientem. Nie analizuję, nie sprawdzam, czekam, co los przyniesie...

Dowiedziałam się, że mieszkanie na poddaszu można wynająć. Wszystko tam jest, kuchnia, łazienka i dwa pokoje. Nawet niedrogo, bo lokal do gruntownego remontu. Dogadałam szczegóły z zarządcą, który przy okazji zdradził mi, że ktoś mocno interesuje się naszą kamienicą. Dwa mieszkania już zostały przez tego człowieka wykupione, a on wciąż wypytuje, czy nie znalazło by się więcej chętnych na sprzedaż. Mój ojciec odmówił, nasza rodzina mieszka tu i pracuje od pokoleń, ale Roksana i sąsiadka z trzeciego piętra wydają się być mocno zainteresowane. W naszym czterokondygnacyjnym budynku znajduje się łącznie jedenaście, ale jeden z nich to lokal użytkowy – nasza pralnia. Mieszkanie mojego ojca znajduje się na pierwszym piętrze, Roksana mieszka na drugim, tuż obok jednej starszej pani. Trzecie z mieszkań na jej piętrze zajmuje inna starsza pani. Na naszym piętrze mieszkają dwie rodziny z dziećmi. Trzecie piętro prawie wykupił nowy właściciel. Na poddaszu znajduje się tylko jedno mieszkanie – to, które postanowiłam wynająć. Może poproszę panią Zosię i pana Ryszarda, żeby sprawdzili, co to za miejsce?

21 października, piątek

Jedna klientka przyszła dziś z prośbą o sprawdzenie w kartach, czy mąż ją zdradza. Nie zauważyłam, że ojciec nie wyszedł jeszcze do domu i usłyszał samą końcówkę pytania. Gdy poszłam z klientką na zaplecze, uznał widocznie, że ta kobieta chce porozmawiać ze mną na ten temat, może nawet, że to ze mną ten mąż ją zdradza. Poszedł więc za nami. Otworzył z rozmachem drzwi i ryknął na całe gardło:

– Moja córka nie ma żadnych gachów, a już na pewno nie takiego kurdupla, jak ten pani mąż! To porządna... wróżka?!

Skończyło się na potężnej awanturze. Paniusia wzięła w obronę swojego kochliwego męża i wygarnęła ojcu od zacofanych prymitywów. Gdy wyszła, ojciec do mnie zgłosił pretensje, że obsługujemy taką klientelę. Ale czego można spodziewać się w pralni? Zakomunikowałam mu, że zamierzam zaadaptować dla siebie mieszkanie na poddaszu. O dziwo, nie tylko nie zaoponował, ale wręcz się ucieszył. Jego zdaniem, naszą kamienicę chcą wykupić jacyś gangsterzy, w sobie wiadomym celu i dlatego nachodzą uczciwych lokatorów, żeby ci odsprzedali im swoje mieszkania. Coś w tym jest, ponieważ kilka osób zgłosiło się do mnie po stosowną wróżbę. Roksana wciąż gości tajemniczego agenta od zadań specjalnych, o którym wiem tyle, że nosi imię Kazimierz. Powtórzyłam jej słowa ojca, ale przyjaciółka roześmiała się beztrząsowo, jej zdaniem tylko wariatom zależy na nabyciu starych mieszkań z przedwojennym grzybem za tapetą. W istocie, nasz dom wymaga gruntownego remontu, lecz sprawa nie jest łatwa do przeprowadzenia, ponieważ znajdujemy się w strefie chronionej przez konserwatora zabytków i wymiana zwykłej klamki i drzwi wymaga tysiąca pozwoleń. Komu zależałoby na tak uciążliwej lokalizacji? Może niedługo się dowiemy.

22 października, sobota

Spotkanie w restauracji. Sześć wymalowanych i wyperfumowanych paniusów, które głośno rozprawiły o paznokciach i facetach, i ja w charakterze atrakcji – jako wynajęta na wieczór wróżka. Nuda. Chciałam już wyjść, ale zapowiedziano tort, poza tym jeszcze mi nie zapłacili. Z zainteresowaniem obserwowałam scenę rozliczania się trzech kobiet. Jak wynikało z rozmowy, jedna z nich – najbliższa koleżanka przyszłej panny młodej – zapłaciła za cały poczęstunek. Druga z koleżanek zobowiązała się pokryć część wydatków. Ustaliły, że jedną piątą. Reszta przytaknęła. Zaczęły więc liczyć na tipsach, ile to jest jedna piąta z 1650. Po kilkunastu minutach wyszło im, że Beata, jedna z siedzących dziewczyn, ma zapłacić drugiej dziewczynie, Karolinie, 350 złotych. Gdy to robi, to do podziału pozostanie tylko 1300 złotych. Więc Beata wyjęła z torebki dwie setki. Wtedy Karolina zaczęła domagać się od pozostałych dziewczyn, żeby jej rozmieniły, bo nie ma wydać. Na to gospodyni wieczoru powiedziała, że ona za nią, czyli za Karolinę, założy i ta będzie jej winna 150. Następnie zwróciła się do Beaty i powiedziała: „Więc ty teraz wpłacasz tylko 600, bo potrącimy to, co jesteś winna Karolinie”. Beata ucieszyła się i zamknęła torebkę. Na to ta, która cały czas liczyła, ile to jest 1/5 z 1300, zrobiła niezadowoloną minę, bo teraz wszystko będzie musiała liczyć od nowa. Po kolejnych kilku minutach, gdy wszystkie mówiły równocześnie, dwie dziewczyny wyjęły portfele i zaczęło się płacenie. Jedna drugiej wręczała to dziesięć, to pięćdziesiąt złotych, informując pozostałe, że jest już na czysto rozliczona. Pozostałe koleżanki także zapytały o swój udział w tym rachunku, na co padła odpowiedź, że one już są rozliczone i jako dowód wskazano owe dwie setki, które leżały na stoliku. Na marginesie, mnie zapłacili z innej puli.

No cóż, jestem teraz na swoim garnuszku. Ojciec zaparł się i nie odzywa się do mnie. Do pralni przyjął moją sąsiadkę, Roksanę. Nie sądzę, żeby miał z niej pociechę, bo ona przecież nie rozróżnia bawełny od wełny, ale w ten sposób chciał zrobić mi na złość. Wiedział, że Roksana o wszystkim mi doniesie. To taka nasza osiedlowa papla. Trudno, ja nie ustąpię i ojciec też pewnie nie ustąpi. Zobaczymy, co się stanie.

23 października, niedziela

Ojciec oświadczył wobec naszych sąsiadów, że według niego nie jestem odpowiedzialną osobą, ponieważ... oszukuję. I to nie tylko jego. Innych także. Jego zdaniem, praca wróżki to jedno wielkie oszustwo, w którym ja chcę brać udział. Potraktował mnie jak kłoszarda, którego on, szlachetny i dobry człowiek, chroni przed całkowitym upadkiem moralnym. W jego przekonaniu nie jestem w stanie się usamodzielnąć, ponieważ czegoś mi brakuje od urodzenia. Piątek klepki chyba. Nikt mnie nie poślubi, męża trzeba będzie zdaje się złapać na łąso albo pokażny posag. Teraz już rozumiem, co oznaczał mój sen. Stanowił zapowiedź nowego, które rodzić się będzie w bólach. Samotna wróżka? Dobrze, niech tak będzie. Udowodnię mu, że jestem profesjonalną wróżką, potrafię o siebie zadbać i nie zamierzam długo być samotna. Ja mu jeszcze pokażę!

Na początek solidnie zabrałam się za remont lokalu na poddaszu. Wymiotłam pajęczyny i resztę brudów. W mieszkaniu zostały stare meble, które po umyciu prezentowały się całkiem przyzwoicie, muszę jedynie sprawić sobie nowe łóżko. Kuchenka i zlew pozostawiały cokolwiek do życzenia pod względem wieku, ale na razie muszą mi wystarczyć. Umyłam okna, wyrzuciłam stary dywan i przetrąłam podłogi. Dębowa klepka przetrwała artystę i jego alkoholowe wyczyny, pozostało mi jedynie odmalować mieszkanie i wprowadzić się.

Tymczasem Roksana doniosła, że tajemniczy inwestor kupił kolejne mieszkanie w naszej kamienicy. Na trzecim piętrze. Zajął całe piętro. Jeszcze nie poczułam, że jestem osaczona, lecz przyjaciółka przyznała, że to dziwne. Podobno jej cichy absztyfikant złamał śluby milczenia i zaczął wypytywać ją o właścicieli pozostałych mieszkań. Skrzywił się mocno, gdy Roksana ujawniła, że zagnieździłam się na poddaszu, podobno sam miał oko na ten lokal. Nie doczekanie jego! Wzięłam ojca pod włos, strasząc go inwazją obcych i pomógł mi odmalować stryszek. Nawet zgodził się, żebym przeniosła tam swoje łóżko i biurko, w czym aktywnie mi pomógł. Na schodach mijaliśmy mężczyzn ubranych w dżinsy i marynarki, nie wyglądali na ekipę remontową, choć trzymali w rękach młotki i miarki. Znikali za drzwiami sprzedanych mieszkań, skąd co jakiś czas dochodziły odgłosy stukania.

– A przed wojną było to takie spokojne miejsce – Westchnął ojciec. Gdy wypominałam mu, że przed wojną był małym dzieckiem, tylko się skrzywił i odparł, że całe to zamieszanie bardzo mu się nie podoba i że z tego wyniknie jeszcze coś niedobrego. Choć skrytykowałam go za uprawianie czarnowidztwa, w głębi duszy przyznałam mu rację. Roksana dowiedziała się jeszcze, że majątny kupiec proponuje dość korzystne warunki, lecz wymaga, aby dość szybko opróżnić lokal. Podobno chce przeprowadzać kompleksowo remonty. Wygląda to wszystko dość podejrzanie, na wszelki wypadek uprzedziłam ją, żeby nie śpieszyła się ze sprzedażą. Lepiej poczekać i zobaczyć, co z tego wyniknie.

26 października, środa

Nieoczekiwanie objawił się pan Przemek we własnej osobie. Skąd on wiedział, gdzie mnie szukać? Nie zostawiłam mu przecież żadnych wskazówek. Pojawił się w pralni, z samego rana i z miejsca zażądał, żeby postawić mu karty. Przyznałam się, że jestem w trakcie urządzania nowego lokalu, w którym będę świadczyć podobne usługi, ale pan Przemek nie słuchał. Uspokoił się dopiero, gdy postawiłam mu te karty, u dezaprobacie ojca, który pomrukiwał z zaplecza. Gdy skończyłam, pan Przemek zaproponował pomoc przy remoncie, w zamian, za kilka darmowych rozmów. Zgodziłam się, bez zastanowienia. Jeszcze tego samego dnia pan Przemek stawiał się w towarzystwie czterech ludzi, sporej drabiny i torby z narzędziami. Później kupili też farbę, lakier do podłogi i nowy zlew do kuchni oraz wannę. Umówiliśmy się, że do soboty mieszkanie będzie gotowe. Narzekania ojca zagłuszyło podwójne stukanie młotka i głośne rozmowy robotników na klatce schodowej.

30 października, niedziela

Remont nie skończył się w sobotę, jak mi obiecano, ponieważ część desek z podłogi wymagała wymiany. Poza tym okazało się, że dach przecieka i po uzgodnieniach z zarządcą dziurawe elementy zostaną zastąpione lukarnami. Oznacza to, że do mieszkania na poddaszu wprowadzę się najwcześniej pod koniec przyszłego tygodnia. Trudno, jakoś wytrzymam postękiwania ojca.

Tajemniczy Kazimierz zniknął równie nagle, jak się pojawił. Roksana nawet nie zdążyła zatęsknić, bo przypomniawszy sobie o nas psychiatrę, Jacek. O wspólnym mieszkaniu z moją sąsiadką nie ma mowy, Jacek zajmuje trzypokojowy lokal dwie przecznice od nas, niedaleko szpitala, w którym pracuje. Przyszedł z kurtuazyjną wizytą i bardzo ucieszył się, gdy poinformowałam go o planach zagospodarowania strychu. Okazało się, że jest ogromnym przeciwnikiem tzw. dużych dzieci, które niemalże do starości pomieszkują ze swoimi rodzicami, pozostając na ich utrzymaniu. Bez troski żyją sobie na koszt staruszków, nie ponosząc odpowiedzialności za nic, roszczeniowi i sfrustrowani własną bez troską. Domyśliłam się, że Jacek widział we mnie taką osobę, która dla kaprysu zafundowała sobie kurs wróżenia.

– Postanowiłam zrobić z tego zawód – Oświadczyłam z dumą. – Nawet w Maroku wciąż ustawiali się do mnie klienci!

– Świetnie, ale to jest żadna stabilizacja – Skarcił mnie Jacek. – Chwilowa moda, ktoś przyjdzie z ciekawości, ktoś inny dlatego, że było mu po drodze, tymczasem praca ma stanowić stałe zabezpieczenie dochodów. Powinnaś podejść do tego bardziej poważnie.

– Chyba za wcześnie na założenie firmy? – Zdziwiłam się. – Teraz inwestuję w lokal. Na poddaszu łatwiej będzie spotykać się z klientami niż w ciasnej pralni.

– Zgoda, ale może pomyśl nad tym, jak nad typową usługą. Zastanów się, jak zamienić to w stałą, odpowiedzialną pracę. Przypadkowe sesje przypominają przecież okazjonalne korepetycje ze studenckich czasów.

Przemyślałam słowa Jacka i przyznałam mu rację. Kuratela ojca sprawiła, że nie musiałam wydorosnąć w tym zakresie. Rodzic zapewniał mi utrzymanie i pracę, którą traktowałam bardziej jako domowy obowiązek niż zobowiązanie. Kończyłam trzydzieści lat, a wciąż zachowywałam się, jak zbuntowana nastolatka. Gdy Jacek sobie poszedł, wstąpiłam do ojca i zaproponowałam mu zawodowy układ. Podzielenie się dyżurami w pralni, zarazem przewidując czas na moją nową pracę – pracę wróżki.

– Przecież nie zakładam burdelu! Nie krzyw się tak! – Podsumowałam ustalenia. – Gdy zainstaluję się na poddaszu, rozpocznę nowe, bardziej samodzielne życie. Nie oznacza to, że cię porzucam, ale muszę wreszcie znaleźć własną drogę, bo w przeciwnym wypadku na zawsze pozostanę zadziwiająco samotna!

3 listopada, czwartek

Remont jest prawie na ukończeniu, lecz gdy zobaczyłam, jaki kolor ścian wybrał dla mnie pan Przemek, oniemiałam. Ciemnofioletowy. Przy starych, mahoniowych meblach z ciemnowiśniowymi obiciami można było poczuć się, jak nie przymierzając – w zakładzie pogrzebowym. Od kilku dni niebo jest zachmurzone, światła dziennego na dworze jest jak na lekarstwo, a co dopiero na poddaszu, a ten mi zaszerwował fiolet na ścianach! Głównego winowajcy nie zastałam, a robotnicy stanowczo odmówili wykonania dodatkowych prac i szybko wycofali się z mieszkania. Postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce. Udałam się do sklepu z farbami, nabyłam wiadro jasno kremowej farby, wałek, folię i wróciłam do domu. Tu zastałam pana Przemka, który przeklinając na czym świat stoi, zamalowywał fiolet bielą, co dało efekt gaciowego różu. Nie skomentowałam sprawy, ucieszyłam się że przynajmniej mieszkanie się rozjaśni.

Tego samego dnia wieczorem, ustawiłam przy oknie doniczkę z paprotką, a na specjalnie w tym celu zakupionym stoliczku – klatkę Bolka. Byliśmy u siebie.

4 listopada, piątek

Wysłannicy tajemniczego kamienicznika rozzuchwalili się na tyle, że stukają teraz w ściany także w nocy. Nie pomogły przywoływane przez nas patrole policji, pukaniem dręczą nas prawie bez przerwy. Na jutro zwołaliśmy nieformalne zebranie właścicieli, którzy odmówili sprzedania swoich mieszkań, żeby omówić sytuację. Spotkamy się w moim mieszkaniu, żeby nie wzbudzać podejrzeń i nie dać się podsłuchać. Najwyraźniej komuś bardzo zależy na tym, żeby nas stąd przepędzić. Nie ważne, dlaczego tak, istotne jest to, że nie pozostawia się nam wyboru. Zatem jutro narada wojenna.

5 listopada, sobota

Na zebraniu oprócz mojego ojca, Roksany i mnie stał się tylko pan reprezentujący jedno małżeństwo z pierwszego piętra. Podobno pozostałych przekonano i niebawem pozbędą się oni swoich mieszkań. Utraciliśmy przewagę liczebną, co niestety źle wróży. Wciąż nie wiemy, dlaczego nasza kamienica stała się dla kogoś aż tak atrakcyjna, lecz i tak podjęliśmy mocne postanowienie, że nie poddamy się i nie oddamy naszym mieszkań bez walki. Musi znaleźć się jakiś sposób, żeby znów można było mieszkać tu spokojnie i bezpiecznie. Poza postanowieniem, nie podjęliśmy nic więcej, bo każdy patrzył na drugiego bezradnie.

– Jesteś wróżką! Wymyśl coś! – Zażądał nawet ode mnie ojciec, ale przecież nie wyczaruję mu rozwiązania na poczekaniu. Gdy postawiłam karty na tę okoliczność, one zupełnie zbagatelizowały problem, udzielając odpowiedzi, że sprawa doskonale się rozstrzygnie, wszyscy wyjdziemy na tym wygrani i bardzo zadowoleni. Głupie karty!

6 listopada, niedziela

Spotkałam rano sąsiadów z pierwszego piętra – wyprowadzą się jeszcze w tym roku, podobno w ich mieszkaniu pojawiły się niepokojące rysy na ścianach. Obawiają się, że budynek wali się ze starości. Gdy starałam się im to wyperswadować, na schodach nie wiedzieć kiedy, pojawili się jacyś ludzie, którzy intensywnie zaczęli przekonywać nas, że istotnie – stara rudera popada w ruinę, bo u nich w łazience popękały płytki na podłodze. Nigdy wcześniej ich nie widziałam – tych ludzi, ich płytek też z resztą nie. Wtedy wyjrzała ze swojego mieszkania żona tego pana, który się z nami naradzał i oświadczyła, że oni też się wyprowadzą – ze względu na dzieci, którym szkodzi hałas, kurz i ogólnie zła atmosfera naszej kamienicy. Zrobiło się nieciekawie. Nigdzie nie mogę ustalić, co leży u podstaw tych niespodziewanych działań oraz dlaczego ktoś tak mocno pragnie kupić rzekomo walący się budynek. Ogólna bezsilność trawi nasze nerwy, ale prowadzimy nadal pralnię, a ja staram się pracować dodatkowo w mieszkaniu. Na poddaszu nie słyszeć tak stukania w ścianę, tylko klienci obawiają się wchodzić po klatce schodowej, na której nieustannie sypie się tynk.

7 listopada, poniedziałek

Podeszłam do pracy bardzo profesjonalnie i za pośrednictwem organizatorów kursu, dołączyłam do wróżbiarskiej grupy na jednym z portali internetowych. Rozmowa kwalifikacyjna została przeprowadzona w kawiarni nad filiżanką parującej kawy, podpisałam umowę i niespełna godzinę później odłożone pieniądze zainwestowałam w telefon, komputer i magiczne karty. To specjalny rodzaj tarota, z łatwymi do zinterpretowania obrazkami.

Zaraz na początku, jeszcze przed zalogowaniem się, przygotowałam sobie przytulne stanowisko pracy, nastrojową muzykę, świecę i w charakterze czarnego kota – czarnego psa, pożyczonego od sąsiadów z dołu. Nie spodziewałam się, że właściciele firmy ezoterycznej tak szybko zaangażują mnie do pełnej obsługi. Byłam raczej przygotowana na pojedyncze

rozmowy z miłymi klientami, w naiwności swojej sądziłam, że ktoś tym steruje, ocenia dzwoniących i odpowiednio do prezentowanych kwalifikacji odpowiednio rozdziela połączenia. Niestety, od razu zostałam rzucona na głęboką wodę, a może w otchłań czarnej magii. Nie nadążałam z rozkładaniem kart, ponieważ klienci oczekiwali odpowiedzi w przeciągu kilkunastu sekund. Szybko zrezygnowałam więc z prezentowanego na kursie rozkładu dziesięciu kart i udzielałam odpowiedzi na podstawie zaledwie dwóch lub trzech.

Po kilku godzinach intensywnej pracy stanowisko pozostało: przyjemny ką w pomieszczeniu, gdzie nic mnie nie rozpraszało oraz świeczka, choć często nie zdążałam jej zapalić. Co do muzyki, to przeszkadzała podczas rozmów, zwłaszcza, że dobywała się ze starego, porzuconego na strychu radia, czasem połączenia były słabej jakości, a mój czarny koto-pies także zrezygnował z asysty i wrócił chrapać na posłaniu w domu swoich właścicieli. Za to Bolek stał się moim niezastąpionym asystentem. Przez kilka ostatnich tygodni usiłowałam nauczyć Bolusia kilku miłych słów, on jednak uznał, że najbardziej przydatne słownictwo to: „buzi”, „sio!”, „już”, „tak”, „nie” i „poszła sobie”. Nie mam pojęcia, skąd zaszczerpił w sobie te słowa, Bolek siada mi na ramieniu, gdy rozmawiam przez telefon, i zwykle wtrąca się do rozmowy, bywa, że w słuchawce słychać jego rozbudowany komentarz złożony z kilkunastu słów ludzkich i papuzich, który zwykle podsumowuje kiwaniem głową i krótkim „No!”

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI